



# KONIEC Z GIENIĄ

„Nic nie wyrzucam,  
bo moje życie jest  
jak puzzle. Tu  
dodaję, tam  
odejmuję, zawsze  
jest za mało albo  
za dużo elementów,  
żeby ułożyć całość”.

„Nie jestem może osobą,  
która upierze  
i posprząta, ale mam  
kilka innych zalet”, mówi

**GOŁDA TENCER.**

Wymieńmy kilka. Potrafi  
prowadzić teatr,  
wzniecać entuzjazm  
i martwić się  
o rozsianych po całym  
świecie żydowskich  
przyjaciół.

A przede wszystkim  
– nie zapominać.

TEKST IGA NYC FOTOGRAFOWAŁ BARTEK BĄRCZYK

**W**ychodzi na scenę ubrana w czarną suknię, do niej ma przyszytą z przodu o kilka rozmiarów za małą, wyraźnie już starą białą sukienkę. To kostium, w którym ponad czterdzieści lat temu na deskach Teatru Żydowskiego grała główną bohaterkę „Dybuka” Leę, opętaną pannę młodą. W nowym przedstawieniu Mai Kleczewskiej Gołda Tencer występuje jako wspomnienie Lei z przeszłości. W 1973 roku miała 24 lata i była początkującą, słiczną i wyjątkowo zgrabną aktorką z grubym czarnym warkoczem. Spektakl reżyserował Szymon Szurmiej, już wtedy jej życiowy partner i dyrektor teatru. Teraz, rok po jego śmierci, to Gołda kieruje sceną przy placu Grzybowskiem w Warszawie. Dlatego kiedy po premierze publiczność na stojąco oklaskuje aktorów przez kilka minut, aktorka nawet nie próbuje ukryć wzruszenia. Placze. Kilka dni później ukazują się recenzje. Same pochlebne, wręcz entuzjastyczne. W jednej z gazet można przeczytać: „Tencer postanowiła zakurzoną, folklorystyczną budę z pejsami na rzepy zamienić w ważny teatr i jeśli wytrwa w swoim postanowieniu, może się okazać, że naj-

**Wciąż nie mogę oderwać się od myślenia o przeszłości. A może nawet nie chcę?**

gorszy do niedawna teatr w Warszawie będzie teraz jej najciekawszą sceną”.

#### **FARTUSZEK Z PODSTAWÓWKI**

Z okna jej gabinetu widać wielki kasztanowiec. – Zasadziliśmy go razem z mężem, kiedy na placu Grzybowskiem jeszcze nic nie było. On rósł razem ze mną – mówi. Aktorka lubi otaczać się bibelotami, które mają przypominać o przeszłości. – Mam naturę chomika. Fartuszek z pierwszej klasy, świadectwa szkolne, świadectwo maturalne, laurki dla mojej mamy i taty, zardzewiały już rowerek, na którym uczyłam się jeździć, pamiętnik, w którym w wieku dziesięciu lat opisałam skrupulatnie grę w dwa ognie i zapisałam wynik meczu z uwagą, że kapitanem zwycięskiej drużyny była moja przyjaciółka z ławki Renia Słomka. Data: 13 marca 1962 roku. Wszystko trzymam. Mam nawet zeszyty mojego brata z matematyki i fizyki. Jego mundur harcerski. Kiedy zrobił doktorat z nefrologii, dałam mu w prezencie te stare zeszyty i teczkę, którą nosił do szkoły – opowiada. – Nic nie wyrzucam, bo moje życie jest jak puzzle. Tu dodaję, tam odejmuję, zawsze jest za mało albo za dużo elementów, żeby ułożyć całość. Mój dziadek przed wojną był zegarmistrzem. Legenda głosi, że za każdym razem gdy składał zegarki, zostawała jakaś śrubka.

Kiedy siedzimy przy starym okrągłym stole, Gołda wskazuje na fotografię, która wisi za moimi plecami. To zdjęcie jej kolegów z klasy, zrobione kilka lat temu na Warszawie Singera. Już dawno porozjeżdżali się po świecie, ale co roku przyjeżdżają na festiwal. – Michał ze Szwecji, Grzesiu z Kopenhagi, Heniek z Izraela, Renia z New Jersey, Marysia z Teksasu, Szymon z Nowego Jorku, Renia z Brukseli i Alek z Łodzi, który jako jedyny został w kraju – wylicza aktorka. Wychowała się w łódzkim Śródmieściu, w kamienicy przy ulicy Próchnika 28, która odchodzi od Piotrkowskiej. – Kilka lat temu pojechałam zobaczyć moje podwórko. Wygląda tak samo źle jak kiedyś. Albo jeszcze gorzej – śmieje się Gołda. – Dwupiętrowy dom, kocie łby. Ani grama trawy. Mało tam dzieci mieszkało, ale wszyscy bawiliśmy się razem. Pod bramą stały drobne pijaczki, które nikomu nie pozwoliły krzywdy nam zrobić. Wśród nich był Zbyszek. Razem ze swoją mamą zajmował pokój na parterze obok ubikacji. Gdy wróciłam na to nasze podwórko po dwudziestu latach, wciąż tam stał.

Od razu poznał, kim jestem. Być może dlatego, że jestem bardzo podobna do mamy. Zaprowadził mnie do swojej mamy, a ona leżała na barłogu – tak jak wtedy, kiedy



z Łodzi wyjeżdżałam. Nic się tam nie zmieniło – opowiada.

Gołda przez lata marzyła, żeby odwiedzić swoje mieszkanie, ale nigdy nie odważyła się wejść do środka. Najdalej doszła do

pierwszego piętra. Przyjaciel dał jej radę: „Zachowaj dobre wspomnienia, nie idź tam”. Posłuchała. – Dzisiaj pamiętam tę moją Łódź w kolorach czarno-białych. Nawet studniówka nie ma w mojej głowie kolorów. To miasto jest moją niespełnioną miłością. Rzadko tam przyjeżdżam, bo to smutne wizyty, zbyt wiele mnie kosztują. Nie mam tam już do czego i do kogo wracać. Nikt nie został – mówi.

#### **SMAK ANANASA**

Tencerowie mieli największe mieszkanie: 120 metrów, trzy pokoje. I jedyny w kamienicy telewizor Rubin. Ojciec Szmul był kaletnikiem i kilka kamienic dalej, przy Próchnika 12, prowadził zakład, w którym wyrabiał damskie torebki. – To był prawdziwy tytan pracy. Wychodził z domu wcześniej rano, wracał o dwudziestej, dwudziestej pierwszej – wspomina Heniek, kolega z klasy Goldy, który teraz mieszka w Izraelu. Do Łodzi Szmul przyjechał dwa lata po wojnie „szukać grobów”, jak mówił. Wcześniej stracił żonę i córkę, też Goł-

dę, ale nigdy o tym nie opowiadał. Rodzina wiedziała tylko, że wywieźli go z warszawskiego getta do Auschwitz, skąd po kilku miesiącach trafił do obozu w Mauthausen. Tam doczekał wyzwolenia. – Przed wojną tata był bardzo religijny, ale po niej jego noga nigdy nie stanęła w synagodze. Powtarzał tylko: „Gdzie był Bóg, kiedy zginęła cała moja rodzina?”. W naszym domu o Holokauście się nie mówiło, ale w powietrzu unosił się smutek. Ja wciąż nie mogę oderwać się i uciec od myślenia o przeszłości. A może nawet nie chcę? Jestem tą melancholią przesiąknięta – mówi Gołda. Ale przyznaje, że w dzieciństwie nie wiedziała nawet, gdzie w Łodzi znajdowało się getto, tak jak większość jej rówieśników; bo dorośli chronili ich przed ciężarem tej tragedii.

– Nie otrzymaliśmy wychowania religijnego, ale dorastaliśmy w poszanowaniu tradycji. Do synagogi chodziliśmy tylko raz do roku, w Jom Kippur, ale Paschę i wszystkie inne święta się u nas w domu obchodziło. Rodzice nie uznawali szabat, ale i tak na stole lądowały karp po żydowsku i lampka wina – wspomina Janusz Tencer, brat aktorki. Ich mama Sonia słynęła zresztą ze swojego talentu kulinarnego. – W niedzielę, kiedy nie chcieli się nam wstawać, nic nie mówiła, tylko przechadzała się po domu i rozsie-

nusz. – Miałem wtedy 18 lat, wszyscy moi przyjaciele wyjeżdżali i ja też przez całą tę kampanię nienawiści czułem się niechciany. Uważałem, że w tamtej Polsce nie ma dla mnie miejsca. Potem podjąłem bardzo dojrzałą, choć trudną decyzję i napisałem do rodziców i Gołdy list, że nie powinni ze mną jechać. Mój ojciec nie miałby w Szwecji czego szukać, a gdyby nie znalazł pracy, to zraniłoby jego dumę. W Łodzi ludzie traktowali go z szacunkiem, a tam byłby nikim – wspomina. – Od mojego wyjazdu, który Gołda mocno przeżyła, minęło już 45 lat, ale cały czas rozmawiamy ze sobą. Wiemy o sobie wszystko i nie ma sprawy, w której nie radzilibyśmy się siebie nawzajem.

Równie bliski kontakt Gołda ma ze swoimi przyjaciółmi ze szkoły. – Jesteśmy dla siebie jak rodzina, bo po wojnie nasze własne były bardzo nieliczne. Nie musimy dzwonić do siebie codziennie, ale wiemy, że mamy siebie nawzajem. Przyjaciele dają mi siłę – mówi aktorka. Hanka Blumsztajn, mieszkająca w Izraelu koleżanka ze szkolnej ławki, przyznaje: – Gdy ktoś z nas przyjeżdża do Polski, musi zatrzymać się u Gołdy. U niej się śpi, u niej się je. Kiedyś powiedziałam jej, że może przenocuję w hotelu, na co usłyszałam: „To u mnie masz zły hotel?”.



1. Gołda Tencer w 1988 r.; 2. Gołda jako dziecko, 1949; 3. Jej tata Szmul Tencer, 1966; 4. Mama Sonia Tencer, 1970; 5. Gołda z koleżankami, 1963; 6. Z mężem Szymonem Szurmiejem i ich synem Dawidem, 1986; 7. Z Szymonem Szurmiejem, 2011; Na następnej stronie fartuszek Gołdy z pierwszej klasy

wala cudowny zapach cebulki po żydowsku. Skutkowało – śmieje się Gołda. – Było nas mało, tylko czwórka, ale ona i tak zawsze gotowała jak dla pułku. Pół mojej klasy się u nas żywiło. Jedna z koleżanek powiedziała mi ostatnio, że to u nas w domu po raz pierwszy skosztowała ananasa. Nasz dom był otwarty i cały czas było w nim mnóstwo ludzi, niczym w metrze w godzinach szczytu.

### BILET W JEDNĄ STRONĘ

Wolny czas spędzała w klubie TSKŻ (Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów), gdzie odbywały się zajęcia baletu i tańca, działała szkolka teatralna. Czasem szła z przyjaciółkami na Piotrkowską i wkładały buty na metalowej szpilce, a wszyscy się za nimi oglądali. Do szkoły też chodziła żydowskiej, imienia Icchoka Pereca, o której kilka lat temu zrealizowała film „Perecowicze”, jej wieloletnie marzenie. Kiedy zaczynała liceum, w klasie uczyło się 60 osób, do matury podeszło już tylko 10. Był 1968 rok, rozpoczęła się brutalna nagonka na Żydów, więc większość wyjechała. Gołda odprowadzała swoich przyjaciół na dworzec Łódź Fabryczna i zastanawiała się, kto jej będzie towarzyszył, jeśli nikogo już nie będzie. Ale ojciec podjął decyzję, że oni zostają. Nie zdecydowali się na emigrację nawet wtedy, kiedy do Szwecji wyjechał Ja-

Niedawno aktorka wróciła z Nowego Jorku, gdzie pojechała z teatrem i zatrzymała się na cały miesiąc u swojej przyjaciółki Reni. Tej samej, która w 1962 roku wygrała mecz w dwa ognie. – Codziennie się razem gimnastykowałyśmy, chodziliśmy na basen, oglądaliśmy spektakle na Broadwayu i słuchałyśmy koncertów jazzowych. Udało się nam też spotkać z dziesięciorgiem przyjaciół z dzieciństwa na brunchu i powspominać jak zwykle. Minęło 47 lat od mojego wyjazdu, a rozmawiamy z Gienią tak, jakbyśmy się nigdy nie rozstawały – opowiada Renia. Dla niej 66-letnia Gołda jest Gienią, bo wszyscy aż do matury używali spolszczonych imion, rodzice bali się o ich bezpieczeństwo. Dopiero na świadectwie ukończenia szkoły musieli wpisać z metryk urodzenia swoje imiona, które tradycyjnie dostawali po dziadkach. Wtedy Tencer postanowiła: koniec z Gienią, teraz jest już Gołda.

### MIŁOŚĆ W RYTMIE ZORBY

Wakacje zawsze spędzali w Sopocie. Jechali na dwa, trzy miesiące z mamą i jej przyjaciółkami. – Tata nie lubił długo siedzieć w jednym miejscu, więc jeśli była dobra pogoda, wpadał na trzy dni, jeżeli kiepska, wyjeżdżał po dwóch i wracał do pracy – śmieje się Janusz. A Gołda dodaje: – Kiedy szliśmy na plażę, mama brała →

ze sobą dwie wielkie siaty, w których trzymała słoiki. W jednym były truskawki w cukrze, w drugim jagody. Uwielbiała grać z koleżankami w karty i tak mijały jej całe dni. Gdy miały przerwę, wołała nas i niemal wypychała mi łyżeczkę z tymi smakołykami do buzi, bo byłam wtedy chuda jak patyk – opowiada aktorka.

To w Sopocie przeżyła swoją pierwszą miłość. Właśnie miała osiemnaste urodziny, kiedy razem z Hanką oraz Renią spotkały przystojnych Greków. Między Gołdą a jednym z nich od razu zaiskrzyło. Porozumiewali się wyłącznie na migi, ale jakoś się dogadywali. Wieczorem w wynajętym pokoju urządziła przyjęcie urodzinowe, na które zaproszono chłopców. – Przynieśli w prezencie whisky Johnnie Walker, ale nikt z nas nie wiedział, co to jest. Mama spróbowała i stwierdziła, że smakuje obrzydliwie! Razem z gospodynią przygotowały kompot, żeby trochę tę whisky osłodzić – śmieje się Gołda. – Nasi Grecy pięknie tańczyli zorbę, więc łatwo było się zakochać. Już nawet miałam wyjeżdżać do Grecji i brać tam ślub. Wciąż mam

listy tego chłopaka, pisane po angielsku, które wtedy ze słownikiem tłumaczył mi mój brat.

Korespondencję od swoich kolejnych narzeczonych aktorka też cały czas trzyma w szufladzie. Ale jedyną trwałą miłością jej życia okazał się Szymon Szurmiej.

Poznali się w Teatrze Żydowskim w Warszawie. Zanim Gołda trafiła do stolicy, studiowała przez rok kulturo-

dziewiętnaście lat, on był po czterdzieście, miał za sobą dwa małżeństwa i dzieci starsze od niej. – Mówiłam mu: „Pochodzę z porządnego żydowskiego domu, to mezalians!” . Dzielili nas spora różnica wieku, na dodatek Szymon był oblegany przez panie, które zresztą bardzo kochał, więc wszyscy uważali, że ten związek nie przetrwa. Ale mylili się, przeżyliśmy razem całe życie. Raz lepiej, raz gorzej, ale całe – opowiada. I dodaje: – Myśmy byli zupełnie różni, ale bardzo siebie nawzajem potrzebowaliśmy. Był kolorowym ptakiem i zawsze powtarzałam, że z Szymonem żyć trudno, ale bez niego jeszcze gorzej. W końcu to mężczyzna, który mnie ukształtował. Nauczył, jak można się śmiać, jak kochać. Dlatego bardzo przeżyłam i wciąż przeżywam jego odejście. Długo nie mogłam się otrząsnąć, jest mi smutno bez niego.

– Kiedy słyszę „Gołda”, od razu myślę „Szymon”, tak ścisły i na wielu poziomach był ich związek – mówi Małgorzata Niezabitowska. – Jak się poznaliśmy, Gołda, będąc gwiazdą Teatru Żydowskiego, poza sceną pozostawała w cieniu Szymona. To on dominował w pracy i w rodzinie. Był także duszą towarzystwa, niedościgłym mistrzem żydowskiego humoru, błyskotliwym gawędziarzem i znakomitym znawcą jidysz, rozmiłowanym w kulturze i tradycji tego języka. Ale Gołda, zodiakalny Lew, miała ambicje, energię i zdolności, toteż obserwowałam, jak przez lata dojrzewa, zaczyna z sukcesem realizować własne pomysły. Po drodze oczywiście iskrzyło, zwłaszcza że Szymon był przyzwyczajony, że rządzi i reżyseruje nie tylko w teatrze. Jednak Gołda konsekwentnie wybijała się na niezależność, aż stała się jego równoprawnym partnerem – dodaje dziennikarka.



## Wszyscy uważali, że ten związek nie przetrwa. Ale my przeżyliśmy razem całe życie. Raz lepiej, raz gorzej, ale całe.

znawstwo, bo nie dostała się do łódzkiej filmówki. Jednocześnie pracowała w Teatrze Lalek Arlekin, a potem śpiewała jako chórzystka w operetce. Ale to jej nie wystarczało. Zawsze marzyła o tym, żeby grać w Teatrze Żydowskim i w końcu to marzenie się spełniło: dostała etat i zaczęła uczyć się w studium aktorskim przy teatrze. Kilka miesięcy wcześniej dyrektorka tej sceny Ida Kamińska w ramach protestu przeciwko antysemickiej propagandzie podała się do dymisji i wyemigrowała do Stanów. Wraz z nią wyjechała większość aktorów, więc zespół kompletowano, ściągając ludzi z innych miast. W ten sposób Gołda trafiła do Warszawy. Kiedy tylko miała premierę, ojciec zamykał swój zakład i przyjeżdżał do stolicy na cały weekend. Gdy Gołda wchodziła na scenę, trącał łokciem siedzących obok widzów, mówiąc z dumą: „To moja córka. Nie ta, tamta, ładniejsza”.

### LWICA NA POLOWANIU

Zamieszkała w dawnej garderobie Idy Kamińskiej, w na wpół spalonym budynku teatru przy ulicy Królewskiej, gdzie dzisiaj mieści się hotel Sofitel Victoria. Szymon Szurmiej miał swoje lokum piętro wyżej, w księgowości. Długo ukrywali ten związek. Ona miała

Dawid Szurmiej, syn Gołdy i Szymona, dodaje: – Tata żartował, że on jest Bliźniakiem, a mama Lwicą, która na tego biednego Bliźniaka poluje. Oni żarli się i... kochali niemiłosiernie.

### JIDISZE MAME

– Zawsze z Szymonem powtarzaliśmy, że rzeczą, którą udało się nam wspólnie dobrze zrobić, naszym największym sukcesem jest Dawid – mówi Gołda. Szurmiej junior był długo wyczekiwany dzieckiem, aktorka urodziła go, mając trzydzieści pięć lat. – Poczułam się spełnioną kobietą i lepszą aktorką. Dawid przewrócił moje życie do góry nogami i wciąż przewraca. Jest moją największą miłością. Ma nielatywny charakter, jest mieszanką wręcz wybuchową, więc kochamy się i kłócimy jednocześnie, głównie o sztukę. Nigdy nie myślałam, że można kochać tak bardzo.

Jak sama przyznaje, jest nadopiekuńczą matką. Prawdziwą jidisze mame. – Czasem opowiadam taki dowcip: „Czym różni się żydowska matka od terrorysty? Tym, że z terrorystą można negocjować” – śmieje się Dawid. – Ona lubi, kiedy rzeczy układają się tak, jak sobie to wymyśli, ale w tym nie ma nic złego. Czasem tylko zapomina, że nie mam już dziesięciu lat, i potrafi powiedzieć: „Dawidku, bądź

ważny, jak przechodzisz przez pasy” albo: „Pamiętaj, nie przyjmuj prezentów od obcych”. Chyba wciąż jest przekonana, że jeszcze nie piję alkoholu (śmiech). Jestem jej oczkiem w głowie, więc potrafi dzwonić co trzy godziny, żeby sprawdzić, co u mnie słychać. Ostatnio zatelefonowała z Nowego Jorku o drugiej nad ranem i jakby nigdy nie zapytała: „Cześć, co robisz?” – opowiada rozbawiony Dawid. A Golda stwierdza: – Nie chciałam mu przekazać moich żydowskich fobii, ale jak wracał późno do domu, to stałam w oknie i czekałam, aż się pojawi. Do tej pory cały czas się o niego martwię. On już nie jest małym chłopcem, ale dla mnie zawsze nim będzie.

Aktorka nie wyobrażała sobie jednak życia bez sceny, więc kiedy jeździła na plac Grzybowski, synem zajmowała się opiekunka lub jej mama, która po śmierci męża zamieszkała z nimi w Warszawie. Ale Dawid spędzał też dużo czasu z rodzicami w teatrze. – Pamiętam pierwszą próbę, na której byłem. Miałem wtedy osiem lat. Tata reżyserował i przez cały czas siedział i spokojnie patrzył, jak aktorzy grają. A gdy skończyli stwierdził: „A j...ł was wszystkich pies. I małe pieski też – śmieje się Dawid. – Mieliliśmy wspólne pasje, potrafiliśmy godzinami siedzieć i dyskutować na temat sztuki, filmu, teatru. Tematy do rozmów nigdy się nie kończyły. Ale wbrew pozorom to był bardzo normalny, tradycyjny dom.

Z taką różnicą, że mama nigdy nie potrafiła gotować. Jedyne, co jej świetnie wychodzi, to bezy. Nie jestem nawet pewien, czy umiałaby zrobić jajecznicę. No i oczywiście jest na ciągłej diecie „od jutra” – mówi. A Golda komentuje z rozbawieniem: – Nie jestem może osobą, która upierze i posprząta, ale mam kilka innych zalet.

## ADRENALINA

Aktorstwo jej nie wystarcza. Ona ma misję do wypełnienia. Nie tylko kieruje Teatrem Żydowskim, w którym wystąpiła w niemal czterdziestu spektaklach i wiele sztuk wyreżyserowała, ale też organizuje przyciągający tłumy festiwal Warszawa Singera. Od lat zarządza tak-

że Fundacją Shalom, która próbuje ocalić żydowską kulturę od zapomnienia. Organizacja ta stworzyła m.in. Centrum Kultury Jidysz, Żydowski Uniwersytet Otwarty, który prowadzi wykłady z kultury żydowskiej, i Uniwersytet Trzeciego Wieku dla osób starszych.

Za jeden ze swoich największych sukcesów Tencer uważa wystawę fotograficzną „I ciągle widzę ich twarze”, ukazującą dawny świat

Żydów polskich. Była pokazywana już w pięćdziesięciu miastach na czterech kontynentach. Na otwarciu w Düsseldorfie aktorka pojechała dwa tygodnie po operacji by-passów, chociaż lekarze grozili, że nie przeżyje podróży.

– Golda zaapelowała, żeby przysłać stare fotografie pokazujące ten dawny, nieistniejący już świat. Wszyscy byli przekonani, że tych zdjęć przetrwało bardzo niewiele. Tymczasem otrzymaliśmy ich na tyle dużo, że powstała wystawa i książka, a po latach niezwykle cenna kolekcja licząca osiem tysięcy zdjęć, które z wielu krajów świata nadesłali nie tylko Żydzi – mówi Małgorzata Niezabitowska. A Dawid Szurmiej stwierdza: – Mama jak już w coś się angażuje, to robi to na sto procent. A że jest emocjonalna, to kiedy coś wychodzi, cieszy się jak małe dziecko, a jeśli się nie udaje, chodzi smutna.

– Po śmierci Szymona Golda przeżyła ciężkie chwile, ale myślę, że jednocześnie odkryła w sobie ogromną siłę. Stała się mocno na no-

gach. I potwierdziła, że ma niesamowitą umiejętność zarządzania i organizowania. Myślę, że dzisiaj ma więcej energii, niż gdy była jedynie wicedyrektorem. Bo ona potrzebuje adrenaliny do życia. A teatr nigdy nie dostawał tak dobrych recenzji jak w tej chwili – mówi Janusz Tencer.

– Sama się czasem dziwię, że jeszcze mi się chce. Jednak sześć milionów Żydów zginęło, a kultura nie zginęła, więc czuję potrzebę opowiadania historii mojego narodu – stwierdza Golda. A czas wolny? – Mam go dla siebie bardzo mało. Prawie wcale. Ale nie przeszkadza mi to, bo nie umiem odpoczywać. Może kiedyś się tego nauczę, ale jeszcze nie teraz. Za dużo mam do zrobienia. ■



„Może kiedyś nauczę się odpoczywać. Ale jeszcze nie teraz. Za dużo mam do zrobienia”.